



## M.[...] SZ.[...]

Warszawa, 26 października 1945 r. Sędzia śledczy Mikołaj Halfter przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka. Po uprzedzeniu świadka o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań oraz o znaczeniu przysięgi sędzia odebrał przysięgę, po czym świadek zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	M.[...] F.[...] Sz.[...] z d. R.[...]
Wiek	[...] lata
Imiona rodziców	M.[...] i F.[...]
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Bagatela [...]
Zajęcie	urzędniczka Wydziału Kwaterunkowego
Wyznanie	rzymskokatolickie
Karalność	niekarana

---

Powstanie Warszawskie zastało mnie, mego męża i dziecko w domu. Mieszkałam wówczas przy ul. Bagatela [...]. Ponieważ przyległy dom numer [...] były to parterowe garaże, widać było z okien naszej łazienki ogródek jordanowski.

Przez pierwsze parę dni powstania, to znaczy od 1 do 4 sierpnia 1944 roku, stale słyszałam od strony ogródka jordanowskiego pojedyncze strzały i od czasu do czasu serie strzałów z karabinu maszynowego. Mąż nie pozwalał mi wyglądać przez okno naszej łazienki. Jednak 4 sierpnia stanęłam na wannie i spojrzałam przez okno łazienki, to właśnie, które pokazywałam ob. sędziemu 18 października br., kiedy odbywała się wizja lokalna na terenie ogrodu jordanowskiego i w al. Szucha 12/14. Wówczas zobaczyłam na terenie tego ogródka trzy rzędy nagich ludzi, między którymi były dzieci. Ludzie ci leżeli na trawie. Ubrania leżały z boku, porozrzucone. Nie zauważyłam krwi, więc sądzę, że egzekucja dopiero

miała nastąpić. W pobliżu widziałam żołnierzy niemieckich (Ukraińców prawdopodobnie, bo, jak zdołałam zaobserwować, na terenie Bagateli i okolic w tym czasie znajdowali się tylko żołnierze ukraińscy). Tylko oficerowie w tych oddziałach to byli Niemcy. Żołnierze ci mieli w rękach rozpylacze, skierowane w stronę leżących. Straciłam przytomność w tym momencie. Miałam po tym ciężki atak sercowy, gdyż ten obrazek, który zauważyłam przez okno łazienki, wywarł na mnie bardzo duże wrażenie, zrozumiałam bowiem, że strzały, które poprzednio słyszałam od strony ogródka jordanowskiego – było to rozstrzelanie ludzi.

W okresie od 2 do 6 sierpnia nasz dom i nasze mieszkanie stale były nachodzone przez żołnierzy Ukraińców, oni bowiem opanowali ten teren. W tych dniach wyprowadzali oni grupkami lokatorów z naszego domu. Przychodzili i do nas w tym celu, lecz synek mój, który wówczas miał 6 lat i 2 miesiące, zawsze jakoś zdołał uprosić żołnierzy, żeby nas nie ruszali. Razem z nami była nasza sublokatorka J.[...] F.[...]. Żołnierze ci, którzy wciąż do naszego mieszkania zaglądali (nadmieniam, że nie wolno nam było zamknąć drzwi wejściowych) stale zabierali różne rzeczy z naszego mieszkania, które im wpadły w oko. Zresztą częściowo i sami dawaliśmy im różne cenne przedmioty jako okup za pozostawienie nas. W tym czasie z innymi lokatorami naszego domu kontaktowaliśmy się bardzo mało.

6 sierpnia Ukraińcy kazali nam opuścić ten dom, zaznaczając, że będzie spalony. Gdy wychodziliśmy razem z mężem, J. F.[...] i dzieckiem, to miałam wrażenie, że nikogo już w domu niema. Dopiero w lutym 1945, po opuszczeniu Warszawy przez Niemców, dowiedziałam się od lokatorów naszego domu, że kilku mieszkańców ukryło się w różnych schronach i przetrwało do drugiej dekady sierpnia. Nazwiska tych osób – mieszkają oni i obecnie w tym domu – są: Kazimierz Cyganiak z żoną, Maria Gryglaszewska i Kazimierz Gryglaszewski. Po wyjściu z domu zostaliśmy skierowani w al. Szucha, gdzie męża zabrano do gestapo. Przechodząc, widziałam na podwórku tym dużo mężczyzn. Kobiet na tym podwórku nie widziałam. Mnie i F.[...] skierowano do ogródka przy kasynie gry.

Nadmieniam, że razem z nami opuściła nasz dom sąsiadka, nazwiska nie pamiętam, kochanka gestapowca Massa. Ona też weszła z nami do ogródka przy kasynie gry, lecz po chwili skomunikowała się z Niemcami i opuściła ten ogródek, zabierając nie tylko swoje rzeczy, lecz także część tych, które przyciągnęłyśmy na wózek ja i F.[...]. Jak słyszałam od naszej dozorkczyni Polińskiej, ta kochanka gestapowca podobno była Polką. W ogródku tym pozostałyśmy do wieczora, na noc zaś schowałyśmy się do jakiejś szopy stojącej na

terenie kasyna. Uciec nie można było, gdyż wszędzie naokoło było bardzo dużo Ukraińców i Niemców, volksdeutschów (w żółtych koszulach) z opaskami czerwonymi na rękawach, ze znakiem swastyki.

Następnego dnia, to znaczy 7 sierpnia około godz. 9.00 rano, kiedy trzymałam na rękach swego synka, postyszałam strzał i zobaczyłam, że syn mój jest zabity. Szopa ta była zbudowana z nieszczelnych desek, były duże szpary, widocznie strzał oddano właśnie przez taką szparę. W tym czasie strzelaniny nie było. Na chwilę przed strzałem postyszałam kroki w pobliżu tej szopy, kula trafiła z tyłu w głowę syna, spowodowała dużą ranę na czole. W chwilę po strzale wszedł do tej szopy Ukraińiec z rewolwerem w rękę. Śmiał się. Byłam tym wypadkiem tak oszołomiona, że postradałam zmysły – rozmawiałam, śpiewałam, usypiałam dziecko. Obawiając się, by nie zabrano i nie spalono mego syna, nosiłam go pod paltem jeszcze przez dwa dni. W pewnym momencie doszedł do mnie jakiś oficer niemiecki (ja po niemiecku nie mówiłam, lecz F[...] dobrze władała tym językiem). Na jego zapytanie, F[...] wyjaśniła mu, skąd myśmy się tu wzięły i poinformowała go o okolicznościach śmierci mego syna, prosząc go o pomoc, abyśmy mogły pochować dziecko. On miał odpowiedzieć, że zasadniczo im nie wolno pomagać Polakom, bo wszyscy są bandyci. I aczkolwiek boi się kolegów, to jednak postara się dopomóc. Rzeczywiście następnego dnia wczesnym rankiem przyszedł do nas, wykopał płytką mogiłę i pomógł mi pochować syna. Następnego dnia wieczorem, to znaczy 10 sierpnia, przyszło do nas dwóch Ukraińców, oświadczyli (mówili po polsku), że komendant wzywa [...], to znaczy F[...] (miała ona lat [...]) i odprowadzili ją do kasyna. Może po 15 minutach zgłosił się do mnie jeden z tych, co zabrali F[...] i powiedział, że teraz mam ja iść. Odprowadził mnie do domu kasyna, gdzie wprowadził do rozbitej łazienki. Był on pijany, mówił po polsku i tam zdarł ze mnie ubranie i bieliznę i zamierzał mnie zgwałcić. Zaczęłam się bronić i prosić go, by mnie lepiej zabił. Wreszcie widocznie potrafiłam go wzruszyć powoływaniem się na jego matkę, tak że odepchnął mnie i kazał mi iść. Zabrałam swoje (rzeczy) ubranie i wyszłam do ogródka do szopy. On doprowadził mnie do szopy, jakiś czas stał jeszcze przy szopie, tak że spodziewałam się wciąż, że strzeli do mnie. Ostatecznie jednak poszedł sobie. F[...] wróciła dopiero nad ranem. Wróciła w opłakanym stanie. Z jej słów, bardzo zresztą powściągliwych, i z jej wyglądu zrozumiałam, że padła ofiarą wielokrotnego gwałtu. Następnego dnia znowu przyszedł do nas ten sam oficer, o którym nadmieniałam powyżej (nie pamiętam, czy był to gestapowiec), i widząc, że jesteśmy w okropnym stanie zdenerwowania, zaczął wypytywać F[...] o co chodzi. Ona zaczęła go prosić, aby nas zabił albo też umożliwił ucieczkę. On jednak

powiedział, że nie może tego zrobić. Jednak po pewnym czasie przysłał do nas jakiegoś żołnierza, który nam kazał natychmiast opuścić ogródek. Skierowałyśmy się w stronę Agrykoli, żołnierz ten odprowadził nas kawałek i wrócił, my zaś poszłyśmy dalej. Na Agrykoli posterunek zaczął do nas strzelać, lecz myśmy szły dalej. Kazali nam wracać, wtedy F[...] powiedziała im (byli to Niemcy), że zostańmy zwolnione i mamy iść na zachód, oni zaś puścili nas. Poszłyśmy na Czerniakowską, następnie zaś zatrzymałyśmy się przy ul. Belwederskiej 4. Tam jeszcze byli Polacy, tam była jeszcze strefa powstańcza. Dopiero 18 sierpnia Niemcy zaatakowali tę dzielnicę. 20 sierpnia podpalili ten dom, wtedy udałyśmy się na ul. Nabelaka, gdzie ukryłyśmy się w płonącym domu, następnie zaś 21 sierpnia poszłyśmy na Chełmską i tam ukryłyśmy się w kościele, skąd już 15 września zostańmy zabrane przez Niemców do Pruszkowa, gdzie udało mi się przyłączyć się do grupy chorych i w ten sposób uniknąć wywiezienia do obozu.

Nadmieniam, że w czasie pobytu w kościele przy Chełmskiej byłam świadkiem tego, jak Niemcy z samochodów i z armat, z czołgów obrzucali bombami i ostrzeliwali szpital, zorganizowany w sierocińcu przy Chełmskiej i w ten sposób podpalili 2 września ten szpital, choć był oznaczony wyraźnie znakami Czerwonego Krzyża. Ranni częściowo spalili się, częściowo zostali przywaleni gruzami. Wieczorem usiłowałyśmy ratować rannych, lecz ulicę oświetloną pożarem Niemcy ostrzeliwali z karabinów maszynowych, tak że nie można było dojść do szpitala. W nocy z drugiej strony udało nam się przedostać i część rannych uratować. Przenieśliśmy ich na Sadybę, gdzie umieszczono ich w jakimś domu. Słyszałam tylko, że następnie zbombardowano i spalono i ten dom.

Osobiście tam nie byłam i tego nie widziałam.

W czasie mej tułaczki po opuszczeniu Pruszkowa, w końcu października 1944 roku, mieszkałam w Kieleckiem na terenie gminy Mużów, we wsi Mużów i tam słyszałam od mieszkańców wsi, że Niemcy – i gestapowcy, i SS-mani – spędzali ludzi z tej wsi (mężczyzn, kobiety i dzieci) do chaty i następnie podpalali taką chatę. Widziałam taką jedną spaloną chatę. Jak mówili mi mieszkańcy tej wsi, spalono w niej 30 osób. Słyszałam również od gospodarzy, że wielokrotnie zdarzały się wypadki gwałcenia dziewczynek po 10 lat przez żołnierzy na oczach rodziców.

F[...] wyszła za mąż, obecnie przebywa w Krakowie, nazywa się P[...].

Dodaję, że oficer niemiecki, o którym mówiłam poprzednio, gdy dowiedział się od F[...] nazwisko mego męża, obiecał sprawdzić, co się z nim dzieje. Następnego dnia – zdaje mi się,



że było to jeszcze przed pogrzebem syna – powiedział F.[...], że muszę się pogodzić z tym, że straciłam męża i dziecko. Ten oficer mówił, że tracili wszystkich bez wyjątku, uważając że wszyscy pomagają powstańcom i wszyscy są bandyci.

Dotychczas żadnych wiadomości o mężu nie mam.

Nazwiska tego oficera nie znam. Podobno był to wiedeńczyk.

Odczytano.